

PRZESZŁOŚĆ NA ZAWSZE ZOSTAWIA ŚLAD

TESS GERRITSEN

Sekret,
którego nie zdradzę



Rozdział pierwszy

W wieku siedmiu lat przekonałam się, jakie to ważne, żeby płakać na pogrzebach. Tamtego dnia w środku lata w trumnie leżał mój stryjeczny dziadek Orson, którego pamiętałam głównie z tego, że palił śmierdzące cygara, jechało mu z ust i bez skrępowania pierdział. Za życia na ogół mnie ignorował, podobnie jak ja jego, więc nie przejęłam się zbytnio jego śmiercią. Nie rozumiałam, z jakiej racji mam uczestniczyć w pogrzebie, ale nie są to decyzje, które pozwala się podejmować siedmiolatkom. Dlatego tamtego dnia wierciłam się znudzona w kościelnej ławce, pocąc się w czarnej wełnianej sukience i zastanawiając się, dlaczego nie mogłam zostać w domu z tatą, który kategorycznie odmówił udziału w nabożeństwie. Udając, że oplakuje kogoś, kim pogardzał, byłby hipokrytą, oświadczył. Nie wiedziałam, co znaczy to słowo, „hipokryta”, ale solidaryzowałam się z tatą. Stercząc tam, wciśnięta między matkę i ciotkę Sylvie, słuchałam ludzi, którzy jeden po drugim wygłaszali mdłe peany na cześć niczym się niewyróżniającego wujka Orsona. Jak dumnym i niezależnym był człowiekiem!

Z jaką pasją uprawiał swoje hobby! Jak bardzo kochał swoją kolekcję znaczków!

Nikt nie wspomniał o jego śmierdzącym oddechu.

W trakcie wlokącego się niemiłosiernie nabożeństwa, żeby zabić jakoś czas, przyglądałam się głowom siedzących przed nami ludzi. Zauważyłam, że kapelusz ciotki Donny obsypany jest białym łupieżem i że wujek Charlie zdrzemnął się i przekrzywił mu się tupecik. Wyglądało to tak, jakby brązowy szczur próbował ześlizgnąć się z jego głowy. Widząc to, zrobiłam coś, co zrobiłaby na moim miejscu każda normalna siedmiolatka.

Wybuchłam śmiechem.

Reakcja była natychmiastowa. Ludzie obrócili się i spiorunowali mnie wzrokiem. Zawstydzona matka wbiła pięć ostrych paznokci w moje ramię.

– Przestań! – syknęła.

– Ale jemu odkleiły się włosy! Wygląda, jakby szczur siedział mu na głowie!

Paznokcie wbiły się jeszcze głębiej.

– Przedyskutujemy to później, Holly.

W domu nie było żadnej dyskusji. Zostałam ochrzczona i oberwałam po buzi. W ten sposób dowiedziałam się, jak należy się zachowywać na pogrzebach. Trzeba trzymać buzię na kłódkę, siedzieć z poważną miną, a czasami nawet uронić łezkę.

Cztery lata później, na pogrzebie matki, pamiętałam, by zalewać się łzami głośno i rzęsiście, bo tego właśnie się po mnie spodziewano.

Ale dziś na pogrzebie Sarah Basterash nie wiem, czy ktokolwiek tego po mnie oczekuje. Minęło ponad dziesięć

lat, odkąd widziałam po raz ostatni dziewczynę, która nosiła w szkole nazwisko Byrne. Nigdy nie byłyśmy ze sobą blisko, więc nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, że mi jej brak. Przyjechałam na jej pogrzeb w Newport z czystej ciekawości. Chcę wiedzieć, jak zmarła. Muszę wiedzieć, jak zmarła. „Taka straszna tragedia”, szepczą wszyscy w kościele. Jej męża nie było akurat w mieście. Sarah wypila kilka drinków i zasnęła. Na szafce nocnej paliła się świeczka. Pożar, w którym zginęła, był dziełem przypadku. Tak w każdym razie mówią.

Chcę wierzyć, że tak właśnie było.

Mały kościółek w Newport jest wypełniony po brzegi; są tu wszyscy, z którymi Sarah przyjaźniła się w swoim krótkim życiu. Większości nigdy nie poznałam. Nie znałam jej męża, Kevina, który w bardziej sprzyjających okolicznościach mógłby uchodzić za całkiem przystojnego faceta, kogoś, kogo mogłabym poderwać, lecz dziś wydaje się autentycznie zdruzgotany. Czy tak właśnie wygląda rozpacz?

Rozglądam się i spostrzegam za sobą koleżankę z klasy, niejaką Kathy. Ma spuchniętą od łez twarz i rozmazany tusz do rzęs. Wielu mężczyzn i prawie wszystkie kobiety płaczą, bo zaangażowana specjalnie w tym celu sopranistka śpiewa stary kwakerski hymn *Simple Gifts*, który zawsze przyprawia o łzy. Kathy i ja patrzymy sobie przez chwilę w oczy, ja w jej lśniące i załzawione, ona w moje suche i spokojne. Od czasów szkoły średniej bardzo się zmieniłam i nie sądzę, by mnie poznała, lecz mimo to wpatruje się we mnie, jakby zobaczyła ducha.

Odwracam się i wbijam wzrok przed siebie.

Kiedy *Simple Gifts* się kończy, ja też ronię kilka łez, tak jak wszyscy.

Później staje w długiej kolejce żałobników pragnących złożyć ostatni hołd zmarłej i mijając zamkniętą trumnę, przyglądam się umieszczonej na sztaludze fotografii Sarah. Miała tylko dwadzieścia sześć lat, cztery lata mniej ode mnie. Na fotografii jest niewinna, zaróżowiona i uśmiechnięta, jest tą samą śliczną blondynką, którą zapamiętałam ze szkolnych lat, kiedy nikt mnie nie zauważał i zawsze prze- mykałam bokiem. A teraz moje ciało tętni życiem, a z Sarah, małej ślicznej Sarah, zostały tylko zwęglone szczątki. Jestem przekonana, że takie właśnie myśli przebiegają przez głowę ludziom, którzy patrzą na jej zdjęcie sprzed pożaru: widzą uśmiechniętą twarz na fotografii i wyobrażają sobie spalone ciało i poczerniałą czaszkę.

Kolejka posuwa się do przodu i w końcu mogę złożyć kondolencje Kevinowi.

– Dziękuję za przybycie – mruczy w odpowiedzi. Nie ma pojęcia, kim jestem i skąd znałam Sarah, ale widzi łzy na moich policzkach i łapie mnie z wdzięcznością za rękę. Oplakuję wraz z nim jego zmarłą żonę i tylko to się liczy.

W końcu wymykam się z kościoła i nie zważając na zimny listopadowy wiatr, szybko się oddalam. Nie chcę trafić na żadnego ze znajomych Kathy i na żadnego z moich znajomych z dzieciństwa. W minionych latach udawało mi się ich wszystkich unikać.

A może to oni unikali mnie.

Minęła dopiero druga i chociaż mój szef w Booksmart Media dał mi cały dzień wolnego, zastanawiam się, czy nie wrócić do wydawnictwa i nie nadrobić zaległości, wysyłając e-maile i telefonując do ludzi. Pracuję w dziale promocji i obsługuję kilkunastu autorów – umawiam ich

z mediami, wysyłam egzemplarze sygnałne i piszę materiały dla prasy.

Jednak przed powrotem do Bostonu muszę odwiedzić pewne miejsce.

Jadę pod dom Sarah – a właściwie to, co z niego zostało: poczerniałe szczątki, zwęglone belki i sterta okopconych cegieł. Biały płótek, za którym był kiedyś ogródek, leży przewrócony i połamany, zdewastowany przez strażaków, którzy ciągnęli z ulicy drabiny i węże. Zanim przyjechała straż, w domu musiało szaleć inferno.

Wysiadam z samochodu i podchodzę do gruzów. W powietrzu nadal czuć smród spalenizny. Stojąc na chodniku, dostrzegam w czarnym pogorzelisku połyskującą lodówkę ze stali nierdzewnej. Jedno spojrzenie na tę uliczkę w Newport mówi mi, że to był luksusowy dom. Zastanawiam się, w jakiej branży pracuje mąż Sarah i czy odziedziczył fortunę po swoich bliskich. Tej przewagi ja z całą pewnością nie miałam.

Zrywa się wiatr, pod moimi stopami szeleszczą zeschłe liście. Ten dźwięk przypomina mi inny jesienny dzień przed dwudziestu laty, gdy miałam dziesięć lat i szłam przez las. Tamten dzień nadal rzuca cień na moje życie i dlatego właśnie tu stoję.

Spoglądam na złożone w tym miejscu dowody pamięci. Ludzie przynieśli Sarah całe naręczka kwiatów; widzę sterty zwiędłych róż, lilii i goździków, kwiecisty hołd ku czci młodej kobiety, którą najwyraźniej kochali. Nagle zauważam coś zielonego, co nie jest elementem bukietu, ale leży na innych kwiatkach, jakby zostało położone po namyśle.

To palmowy liść. Symbol męczeństwa.

Wstrząsa mną zimny dreszcz i szybko się cofam. Serce wali mi jak młotem i nagle słyszę zbliżający się samochód. Odwróciwszy się, widzę radiowóz, który zwolnił do prędkości pieszego. Ma zamknięte szyby i nie widzę twarzy policjanta, ale domyślam się, że mierzy mnie uważnym wzrokiem. Wsiadam z powrotem do swojego auta.

Przez chwilę siedzę, czekając, aż uspokoi mi się serce i przestaną drżeć dłonie. Patrzę na ruiny domu i ponownie wyobrażam sobie Sarah w wieku sześciu lat. Małą śliczną Sarah Byrne podrygującą przede mną na siedzeniu szkolnego autobusu. Tamtego popołudnia jechało nas pięcioro.

Teraz została tylko czwórka.

– Żegnaj, Sarah – szepczę, po czym przekręcam kluczyk w stacyjce i ruszam z powrotem do Bostonu.

Rozdział drugi

Bestie też umierają.

Kobieta leżąca po drugiej stronie szyby mogła wydawać się taką samą istotą ludzką jak inni pacjenci oddziału intensywnej opieki, jednak doktor Maura Isles wiedziała, że Amalthea Lank jest prawdziwą bestią. Za szybą widziała kogoś, kto nawiedzał ją w koszmarach, kto rzucał cień na jej przeszłość i na czyjej twarzy widziała swoją przyszłość.

To moja matka.

– Słyszeliśmy, że pani Lank ma córkę, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że mieszka pani w Bostonie tak blisko – odezwał się doktor Wang. Czy w jego głosie zabrzmiała nutka krytycyzmu? Dezaprobata wypływająca z faktu, że nie okazała się kochającą córką i nie pojawiła przy łożu konającej matki?

– Jest moją biologiczną matką – wyjaśniła Maura. – Oddała mnie do adopcji, kiedy byłam niemowlęciem. Dowiedziałam się o tym dopiero przed kilku laty.

– To znaczy, że się znacie?

– Tak, ale nie rozmawiałam z nią, odkąd... – Maura urwa-

ła. *Odkąd przysięgłam, że nie będę z nią miała nic wspólnego.* – Zanim dziś po południu zadzwoniła do mnie pielęgniarka, nie miałam pojęcia, że leży na OIOM-ie.

– Przyjęto ją dwa dni temu, z bardzo wysoką temperaturą i niskim poziomem białych krwinek.

– Jak niskim?

– Poziom neutrofili... to szczególny rodzaj krwinek... wynosi tylko pięćset jednostek. Powinien być trzy razy wyższy.

– Rozumiem, że zastosowaliście antybiotykoterapię empiryczną? – Maura zobaczyła na twarzy lekarza zaskoczenie. – Przepraszam, doktorze Wang – dodała. – Powinnam wyjaśnić, że jestem lekarką. Pracuję w zakładzie medycyny sądowej.

– Och, nie zdawałem sobie sprawy. – Doktor Wong odchrząknął i natychmiast przerzucił się na znacznie bardziej profesjonalny język. – Owszem, zaczęliśmy podawać antybiotyki natychmiast po pobraniu krwi na posiew. Mniej więcej pięć procent pacjentów chemioterapii cierpi na gorączkę neutropeniczną.

– Jakemu rodzajowi chemioterapii jest poddawana?

– Zastosowaliśmy terapię Folfirinox. To połączenie czterech leków, w tym fluorouracylu i leucovorinu. Według francuskich badań Folfirinox zdecydowanie przedłuża życie pacjentom z metastatycznym rakiem trzustki, ale trzeba monitorować ich temperaturę. Więzienna pielęgniarka w Framingham na szczęście o tym wiedziała. Mam nadzieję, że nie pogniewa się pani, jeśli o coś zapytam.

– Tak?

Doktor Wang odwrócił wzrok, najwyraźniej skrępowany. O wiele łatwiej jest dyskutować o wynikach badania krwi,

antybiotykoterapii i badaniach naukowych, ponieważ te rzeczy nie są dobre ani złe; nie trzeba ich osądzać.

– W jej historii choroby z Framingham nie ma mowy o tym, dlaczego trafiła za kratki. Wiemy tylko, że pani Lank odsiaduje wyrok dożywocia bez możliwości zwolnienia warunkowego. Strażnik, którego jej przydzielono, nalega, by chorą przykuto do ramy łóżka, co wydaje się barbarzyństwem.

– Takie po prostu obowiązują zasady w stosunku do hospitalizowanych więźniów.

– Ona umiera na raka trzustki i każdy widzi, jaka jest słaba. Z całą pewnością nie wyskoczy z łóżka i nie ucieknie. Ale strażnik powiedział, że jest bardziej niebezpieczna, niż na to wygląda.

– Bo jest – odparła Maura.

– Za co trafiła do więzienia?

– Za zabójstwa. Wielokrotnie.

Doktor Wong przyglądał się przez chwilę Amalthei.

– Ta kobieta jest morderczynią?

– Teraz rozumie pan, dlaczego są konieczne kajdanki. I strażnik dyżurujący na korytarzu. – Maura zerknęła na umundurowanego funkcjonariusza, który siedział przy drzwiach i przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Przykro mi – powiedział doktor Wang. – To musi być dla pani trudne. Życie ze świadomością, że pani matka...

– ...jest morderczynią? Owszem. – *I nie wie pan, co jest najgorsze. Nie poznał pan innych członków mojej rodziny.*

Za szybą izolatki oczy Amalthei powoli się otworzyły. Kościsty palec zgiął się niczym szatański szpon i ten władczy, przyzywający gest przyprowadził Maurę o dreszcze. Powinnam się odwrócić i wyjść, pomyślała. Amalthea nie

zasługiwała na niczyją litość i życzliwość. Niestety, były ze sobą połączone więzami równie mocnymi jak ich molekuły. Nawet jeśli świadczyło o tym wyłącznie ich DNA, Amalthea Lank była jej matką.

Strażnik nie spuszczał Maury z oczu, kiedy wkładała fartuch i maskę. To nie była prywatna wizyta; każde ich spojrzenie i każdy gest były obserwowane. Nieuniknione plotki z pewnością rozejdą się po szpitalu. Doktor Maura Isles, bostońska patolog, której skalpel rozciął trudną do oszacowania liczbę zwłok, która regularnie podążała śladem kostuchy, jest córką seryjnej zabójczynie. Śmierć była jej rodzinną domeną.

Amalthea spojrzała na Maurę oczami czarnymi jak okruchy obsydianu. We wprowadzonych do nosa rurkach syczał cicho tlen, na kardiomonitorze przy łóżku widać było krzywą elektrokardiograficzną – dowód, że nawet ktoś tak bezduszny jak Amalthea miał serce.

– W końcu przyszedłaś się ze mną zobaczyć – szepnęła. – Choć przysięgałaś, że nigdy tego nie zrobisz.

– Powiedzieli, że jesteś śmiertelnie chora. To może ostatnia szansa, żebyśmy ze sobą porozmawiały. Chciałam się z tobą zobaczyć, dopóki to jeszcze możliwe.

– Bo czegoś ode mnie potrzebujesz?

Maura pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Czego mogłabym od ciebie potrzebować?

– Tak funkcjonuje świat, Mauro. Wszystkie rozsądne istoty szukają przewagi nad innymi. Robimy tylko to, co leży w naszym interesie.

– Być może tak to wygląda w twoim świecie. Nie w moim.

– Więc po co przyszłaś?

– Bo umierasz. Bo wciąż do mnie pisałaś, prosząc, żebym cię odwiedziła. Bo lubię sobie wyobrazać, że mam dla bliźnich trochę współczucia.

– Którego ja jestem pozbawiona.

– A dlaczego, twoim zdaniem, przykuli cię do łóżka?

Amalthea skrzywiła się i zamknęła oczy. Jej twarz stężała z bólu.

– Chyba sobie na to zasłużyłam – mruknęła.

Pot zalsnił nad jej górną wargą i przez chwilę leżała zupełnie nieruchomo, jakby każdy ruch, nawet zaczerpnięcie oddechu, przyprawiał ją o straszliwy ból. Kiedy Maura widziała ją poprzednio, czarne włosy Amalthei były gęste i przetykane siwizną. Teraz do czaszki przylegały nieliczne kosmyki, niedobitki brutalnej chemioterapii. Zwisająca z kościstej twarzy skóra przypominała zapadnięty namiot.

– Wyglądasz, jakby cię bolało. Potrzebujesz morfiny? – zapytała Maura. – Zawołam pielęgniarkę.

– Nie. – Amalthea powoli wypuściła powietrze z płuc. – Jeszcze nie. Muszę mieć jasny umysł. Muszę z tobą porozmawiać.

– O czym?

– O tobie, Mauro. O tym, kim jesteś.

– Wiem, kim jestem.

– Naprawdę? – Oczy Amalthei były ciemne i bezdenne. – Jesteś moją córką. Nie możesz się tego wyprzeć.

– W niczym cię nie przypominam.

– Bo dorastałaś w miłej i szanowanej rodzinie państwa Islesów w San Francisco? Bo chodziłaś do świetnych szkół

i odebrałaś najlepsze wykształcenie? Bo pracujesz na rzecz prawdy i sprawiedliwości?

– Bo nie zarzęłam dwudziestu czterech kobiet. A może było ich więcej? Może zostawiłaś za sobą więcej trupów, nie zdołano ci tylko ich przypisać.

– To wszystko należy do przeszłości. A ja chcę mówić o przyszłości.

– A co może cię obchodzić przyszłość? Za chwilę cię nie będzie.

To, co powiedziała, było nieludzkie, ale nie chciała się nad nią litować. Nagle uświadomiła sobie, że padła ofiarą manipulacji, dała się tu zwabić przez kobietę, która wiedziała dokładnie, jak pociągać za sznurki. Amalthea przez kilka miesięcy wysyłała jej listy. „Umieram na raka. Jestem twoją jedyną krewną. To twoja ostatnia szansa, byśmy mogły się pożegnać”. Mało jest bardziej sugestywnych słów. Kiedy człowiek zmarnuje ostatnią szansę, może tego żałować do końca życia.

– Zgadza się. Umrę – potwierdziła rzeczowym tonem Amalthea. – A ty zostaniesz i będziesz się zastanawiała, kim są twoi pobratymcy.

– Moi pobratymcy? – Maura roześmiała się. – Mówisz to tak, jakbyśmy byli członkami jakiegoś plemienia?

– Bo nimi jesteśmy. Należymy do plemienia, które czerpie korzyści ze zmarłych. Twój ojciec i ja robiliśmy z nich użytek. Podobnie jak twój brat. I czy nie zakrawa na ironię, Mauro, że ty również to robisz? Zapytaj siebie, dlaczego wybrałaś taki zawód. Taki dziwny rodzaj kariery. Dlaczego nie jesteś nauczycielką albo bankowcem? Co cię skłania do krojenia zmarłych?

– Chodzi o prawdę naukową. Chcę zrozumieć, dlaczego zginęli.

– Oczywiście. Udzielasz odpowiedzi intelektualnej.
– Czy jest jakaś lepsza?
– Robisz to, bo masz w sobie mrok. Tak samo jak ja. Różnica polega na tym, że ty się go boisz, a ja nie. Próbujesz poradzić sobie z lękiem, krojąc go skalpelem, w nadziei, że odkryje swoje sekrety. Ale to nie działa, prawda? To nie rozwiązuje twojego zasadniczego problemu.

– Jakiego problemu?

– Że mrok jest w tobie. Należy do ciebie.

Maura spojrzała w oczy matce i to, co w nich zobaczyła, sprawiło, że zaschło jej w gardle. *Mój Boże, widzę samą siebie.* Cofnęła się.

– Koniec wizyty. Prosiłaś, żebym przyszła, i zrobiłam to. Nie wysyłaj mi więcej listów, bo na nie nie odpowiem. Do widzenia, Amaltheo – powiedziała, odwracając się do wyjścia.

– Nie jesteś jedyną osobą, do której pisałam.

Maura znieruchomiała z dłonią uniesioną nad kławką.

– Słyszę o różnych sprawach. Które być może i ty będziesz chciała poznać. – Amalthea zamknęła oczy i westchnęła. – Nie wydajesz się zainteresowana, ale to się zmieni, ponieważ wkrótce odkryjesz kolejną.

Jak to kolejną?

Maura wahała się, czy ma wyjść, czy zostać. Nie chciała dać się w to wciągnąć. Nie wdawaj się w dyskusję, mówiła sobie. Nie pozwól, żeby złapała cię w pułapkę.

Uratowała ją w końcu komórka, która zawibrowała w kieszeni. Nie oglądając się za siebie, Maura wyszła z izolatki, zerwała z twarzy maskę i wsunęła rękę pod fartuch, żeby wyciągnąć telefon.

– Doktor Isles – powiedziała.

– Mam dla ciebie wcześniejszy prezent pod choinkę – oznajmiła Jane Rizzoli zdecydowanie zbyt lekkim tonem, zważywszy, o co mogło jej chodzić. – Dwudziestosześcioletnia biała kobieta. Zmarła w łóżku, w ubraniu.

– Gdzie?

– Jesteśmy w Leather District, w lofcie przy Utica Street.

Nie mogę się doczekać, żeby poznać twoje zdanie.

– Powiedziałaś, że zmarła w łóżku? Własnym?

– Tak. Znalazł ją ojciec.

– I na pewno mamy do czynienia z zabójstwem?

– Nie ma wątpliwości. Ale dopiero to, co stało się z nią później, przyprawiło tu obecnego Frosta o mdłości. – Jane na chwilę przerwała. – Przynajmniej mam nadzieję, że to stało się później – dodała cicho.

Maura widziała przez szybę, że Amalthea śledzi rozmowę z dużym zainteresowaniem. To oczywiste, że była zaciekawiona; śmierć była ich rodzinną domeną.

– Jak szybko zdołasz tutaj dotrzeć? – zapytała Jane.

– Jestem w tej chwili we Framingham. Może mi to zająć trochę czasu, w zależności od korków.

– We Framingham? Co ty tam robisz?

Nie był to temat, który Maura chciałaby rozwijać, zwłaszcza z Jane.

– Już stąd wychodzę – powiedziała, po czym rozłączyła się i spojrzała na umierającą matkę. Załatwiłam wszystko, co było do załatwienia, pomyślała. Nie muszę cię już nigdy oglądać.

Usta Amalthei wykrzywiły się powoli w uśmiechu.

Rozdział trzeci

Kiedy Maura dotarła do Bostonu, zapadał zmierzch. Przeszywający do szpiku kości wiatr zagnał większość ludzi do domów. Wąska Utica Street była zastawiona radio-wozami, zaparkowała więc za rogiem i przebiegła wzrokiem wyludnioną ulicę. Kilka dni wcześniej spadł śnieg, potem przyszła odwilż, a teraz znów ściał mróz i chodniki były pokryte zdradziecką warstwą lodu. Czas zająć się pracą i zapomnieć o Amalthei, pomyślała. Dokładnie coś takiego poradziła jej przed kilku miesiącami Jane: „Nie odwiedzaj jej i nawet o niej nie myśl. Niech ta kobieta zgnije za kratami”.

Teraz mam to już za sobą, stwierdziła w myślach Maura. Pożegnałam się i w końcu wykreśliłam ją ze swojego życia.

Kiedy wysiadła z lexusa, wiatr porwał połę jej długiego czarnego płaszcza i owiał nogawki wełnianych spodni. Stąpając ostrożnie po śliskim chodniku, minęła kawiarnię oraz zamknięte biuro podróży i skręciła w wąski kanion Utica Street. Niegdyś mieściły się tutaj warsztaty garbarskie i składy skór. Wiele z dziewiętnastowiecznych budynków

z czerwonej cegły zostało przerobionych na lofty i dzielnica przemysłowa zmieniła się w modną enklawę bohemy.

Obchodząc blokujące ulicę pozostałości placu budowy, Maura utkwiała wzrok w niebieskich światłach, które migły na dachu radiowozu niczym posepna latarnia morska. W środku, za przednią szybą, widziała sylwetki dwóch mundurowych. Siedzieli z pracującym silnikiem, żeby nie zmarznąć. Gdy podeszła bliżej, jeden z nich opuścił szybę.

– Cześć, pani doktor – przywitał ją, szczerząc zęby w uśmiechu. – Ominęły panią nie lada atrakcje. Właśnie odjechała karetka. – Choć wyglądał znajomo i najwyraźniej ją rozpoznał, nie miała pojęcia, jak się nazywa. Zdarzało jej się to ostatnio coraz częściej.

– Jakie atrakcje? – zapytała.

– Kiedy Rizzoli rozmawiała w środku z jakimś facetem, złapał się nagle za pierś i zemdłał. Prawdopodobnie atak serca.

– Żyje?

– Żył, kiedy go stąd zabierali. Szkoda, że pani tu nie było. Przydałby mu się lekarz.

– Nie ta specjalizacja. – Maura zerknęła na budynek. – Rizzoli nadal tam jest?

– Owszem. Wystarczy wejść po schodach. Na górze mają całkiem fajny apartament. Przytulne gniazdko, pod warunkiem że lokator nie odwali kity. – Gliniarz zamknął szybę i usłyszała, jak śmieje się z własnego dowcipu. Ha, ha, humor miejsca zbrodni. Raczej mało śmieszny.

Stojąc w lodowatych podmuchach wiatru, włożyła rękawiczki, naciągnęła foliowe osłony na buty i weszła do budynku. I natychmiast stanęła jak wryta, widząc przed sobą

zakrwawioną twarz dziewczyny. W holu wejściowym niczym makabryczna powitalna tablica wisiał plakat horroru *Carrie*, krwawa plama w technicolorze, która mogła przyprowadzić o dreszcz każdego wchodzącego. Ceglane ściany klatki schodowej zdobiła cała kolekcja filmowych plakatów. Wchodząc po schodach, minęła *Dzień Tryfidów*, *Studnię i wahadło*, *Ptaki* i *Noc żywych trupów*.

– Jesteś w końcu! – zawołała Jane z podestu drugiego piętra. – Wyobraź sobie, że codziennie po powrocie do domu widzisz takie miłe obrazki.

– Wszystkie te plakaty wyglądają na oryginalne. Nie są w moim guście, ale mają chyba dużą wartość.

– Wejź na górę, to zobaczysz więcej rzeczy, które nie są w twoim guście. Z pewnością nie są w moim.

Maura weszła za Jane do mieszkania i zatrzymała się, by spojrzeć z podziwem na masywne drewniane belki nad głową. Podłoga była wyłożona oryginalnymi szerokimi dębowymi deskami, które wypolerowano na wysoki połysk. Gustowna renowacja zmieniła obskurne wnętrze magazynu w olśniewający loft z ceglanymi ścianami, na który na pewno nie było stać pierwszego z brzegu głodującego artystę.

– Moje mieszkanie nawet się do tego nie umywa – stwierdziła Jane. – Mogłabym się tu od razu przeprowadzić, ale najpierw musiałabym się pozbyć tego paskudztwa ze ściany – dodała, wskazując monstrualne czerwone oko lypiące z kolejnego filmowego plakatu. – Zauważyłaś, jaki jest tytuł horroru?

– *Widzę cię?* – mruknęła Maura.

– Zapamiętaj go. Może mieć dla nas znaczenie – rzuciła złowróbnym tonem Jane.

Przeszły przez otwartą kuchnię, mijając wazon ze świeżo ściętymi różami i liliami – miłym wiosennym akcentem w ten grudniowy wieczór. Na czarnym granitowym blacie leżała wizytówka z purpurowym napisem „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! Całusy, tata”.

– Mówiłaś, że znalazł ją ojciec? – zapytała Maura.

– Zgadza się. Należy do niego cały budynek. Pozwala jej tu mieszkać za darmo. Zaprosił ją dziś na lunch do Four Seasons. Mieli świętować jej urodziny. Nie zjawiała się i nie odbierała telefonów, więc przyjechał, żeby zobaczyć, co się stało. Powiedział, że drzwi były otwarte, ale poza tym wszystko wydawało się w porządku. Do momentu, kiedy wszedł do sypialni. – Jane na chwilę przerwała. – Mniej więcej w tym punkcie swojej opowieści zbladł, złapał się za klatkę piersiową i musieliśmy wezwać karetkę.

– Policjant na dole twierdzi, że żył, kiedy stąd odjeżdżali.

– Ale nie wyglądał najlepiej. Po tym, co zobaczyliśmy w sypialni, bałam się, że Frost też będzie potrzebował karetki.

Detektyw Barry Frost stał w przeciwległym rogu sypialni, z wielkim zaangażowaniem pisząc coś w notesie. Zimowa bledość jego cery była wyraźniejsza niż zwykle i kiedy Maura weszła do pokoju, zdołał jej tylko słabo kiwnąć głową. Prawie na niego nie spojrzała; całą uwagę skupiła na łóżku, na którym leżała ofiara. Młoda kobieta spoczywała w dziwnie spokojnej pozie, z rękami po bokach, jakby położyła się na narzucie w ubraniu, żeby uciąć sobie drzemkę. Miała na sobie czarne legginsy i golf, co dodatkowo podkreślało upiorną biel twarzy. Jej włosy również były czarne, choć ja-

sne odrosty zdradzały, że są farbowane. Uszy miała przebite licznymi złotymi ćwiekami, na łuku brwiowym lśniło złote kółko. Całą uwagę Maury przykuło jednak to, co zobaczyła pod brwiami.

Oba oczodoły były puste. W miejscu oczu ziały krwawe dziury.

Zszokowana zerknęła w dół na lewą otwartą dłoń kobiety. Leżało na niej coś, co przypominało makabryczne marmurowe kulki.

– I to właśnie sprawia, że ta noc jest pełna cudów, chłopcy i dziewczęta – mruknęła Jane.

– Obustronne wyluszczenie gałek ocznych – stwierdziła cicho Maura.

– To jakiś rodzaj medycznej nowomowy? Żeby nie powiedzieć wprost, że ktoś wylupił jej oczy?

– Owszem.

– Uwielbiam cię za te wszystkie chłodne kliniczne określenia. Dzięki temu to, że ta dziewczyna trzyma w dłoni własne oczy, wydaje się mniej pojebane.

– Powiedzcie coś więcej o ofercie – poprosiła Maura.

Frost uniósł niechętnie wzrok znad notesu.

– Cassandra Coyle, wiek: dwadzieścia sześć lat. Mieszka... mieszkała tutaj sama; aktualnie bez chłopaka. Jest niezależnym filmowcem, z własną wytwórnią o nazwie Crazy Ruby Films. Ma małe studio przy South Street.

– Mieszczące się w kolejnym budynku należącym do taty – dodała Jane. – Rodzina jest najwyraźniej zamożna.

– Ojciec twierdzi, że rozmawiał z nią po raz ostatni wczoraj o piątej lub szóstej po południu – podjął Frost – tuż zanim wy-

szła ze swojego studia. Pojedziemy tam zaraz, żeby przesłuchać jej kolegów i spróbować ustalić, kiedy ją ostatnio widzieli.

– Jaki rodzaj filmów kręcą? – zapytała Maura, choć na podstawie plakatów, które widziała na klatce schodowej, odpowiedź wydawała się oczywista.

– Horrorzy – odparł Frost. – Ojciec Cassandry twierdzi, że właśnie skończyli kręcić jej drugi.

– I to pasuje jakby do jej upodobań, jeśli chodzi o modę – powiedziała Jane, spoglądając na kruczoczarne włosy i kolczyki ofiary. – Wydawało mi się, że gotycki rock odszedł już w niepamięć, ale ta dziewczyna jest mu najwyraźniej dozwrotnie wierna.

Maura skupiła ponownie uwagę na dłoni ofiary. Powietrze wysuszyło rogowki i lśniące niegdyś niebieskie oczy były teraz zmętniałe i matowe. Choć przecięte tkanki zdążyły się obkurczyć, mogła zidentyfikować mięśnie proste i skośne, które tak precyzyjnie kontrolują ruchy ludzkiego oka. Dzięki tym sześciu perfekcyjnie współpracującym ze sobą mięśniom myśliwy widzi lecącą wysoko kaczkę, a uczeń jest w stanie przebiec wzrokiem tekst w podręczniku.

– Powiedz nam, proszę, że była już martwa, kiedy ją to spotkało – odezwała się Jane.

– Sądząc po stanie powiek, wyłuszczenia robią wrażenie pośmiertnych. Widzicie, że nie ma prawie zewnętrznych uszkodzeń tkanki? Ten, kto usuwał gałki, raczej się z tym nie śpieszył, co trudno sobie wyobrazić, gdyby ofiara była przytomna i szarpała się. Minimalna utrata krwi wskazuje, że brak było tętna. Kiedy dokonano pierwszego nacięcia, krążenie krwi już ustało. – Maura przerwała i przyglądała się

przez chwilę pustym oczodołom. – Zawarta w tym wszystkim symbolika jest fascynująca.

– Uprzedzałam cię, że to powie – mruknęła Jane do Frosta.

– Oczywiście uważane są za okna duszy. Być może zabójcy nie spodobało się to, co w nich zobaczył. Albo to, jak na niego popatrzyła. Może przestraszył się jej spojrzenia i zareagował, wyłupiając jej oczy.

– Niewykluczone, że miał z tym coś wspólnego jej ostatni film – podpowiedział Frost. – *Widzę cię*.

Maura spojrzała na niego.

– Ten plakat jest do jej filmu?

– Napisała scenariusz i go wyprodukowała. Według ojca, był to jej pierwszy film fabularny. Nie wiadomo, kto go oglądał. Wśród widzów mógł być jakiś świr.

– I mogło go to zainspirować – dokończyła za niego Maura, wpatrując się w dwie gałki leżące na dłoni Cassandry.

– Zetknęłaś się wcześniej z czymś takim? – zapytał Frost. – Z ofiarą, której wyłupiono oczy?

– Coś takiego zdarzyło się w Dallas – odparła. – Nie zajmowałam się tą sprawą, ale opowiadał mi kolega. Trzy kobiety zostały zastrzelone i po śmierci usunięto im gałki oczne. U pierwszej ofiary zabójca zrobił to z chirurgiczną precyzją, podobnie jak tutaj. Jednak u trzeciej spartolił robotę i dzięki temu go złapali.

– Więc to... seryjny zabójca.

– Który znał się poza tym na taksydermii. Po aresztowaniu policja znalazła w jego mieszkaniu dziesiątki zdjęć kobiet. Na każdym wycinał im oczy. Nienawidził kobiet i zadawanie im bólu podniecało go seksualnie. – Maura spojrzała

na Frosta. – To jedyny przypadek, o jakim słyszałam. Tego rodzaju okaleczenia są bardzo rzadkie.

– Widzimy coś takiego po raz pierwszy – przyznała Jane.

– Miejmy nadzieję, że po raz pierwszy i ostatni. – Maura podniosła rękę kobiety i próbowała zgiąć ją w łokciu, ale staw był sztywny. – Skóra jest zimna, ofiara znajduje się w pełnym stężeniu pośmiertnym. Wczoraj około piątej rozmawiała przez telefon z ojcem, więc wiemy, że jeszcze wtedy żyła, co oznacza, że musiała zginąć najwcześniej dwadzieścia cztery i najpóźniej dwanaście godzin temu. – Podniosła wzrok. – Czy mamy jakiegoś świadka, dzięki któremu moglibyśmy zawęzić ten przedział czasowy? Czy w pobliżu są kamery monitoringu?

– Na tej przecznicy nie ma – odparł Frost. – Ale zauważyłem kamerę na budynku za rogiem. Jest chyba skierowana prosto w wylot Utica Street. Może zarejestrowała Cassandrę, kiedy wracała do domu, a jeśli dopisze nam szczęście, jeszcze kogoś innego.

Maura odwinęła golf ofiary, żeby sprawdzić, czy na szyi są zasinienia lub ślady duszenia, lecz nic nie zobaczyła. Następnie podciągnęła golf na brzuchu, żeby odsłonić tors, i z pomocą Jane przekreśliła ciało na bok. Plecy, do których po śmierci spłynęła krew, miały ciemnosiny kolor. Wcisnąwszy palec w przebarwione ciało, przekonała się, że plamy pośmiertne są w pełni wykształcone. To potwierdzało, że ofiara nie żyła co najmniej od dwunastu godzin.

Tylko jaka była przyczyna śmierci? Poza wylupionymi oczami nie widziała żadnych urazów.

– Żadnych ran postrzałowych, żadnej krwi ani śladów duszenia – stwierdziła. – Nie widzę innych obrażeń.